



Mirosław Derecki

BYĆ JANDĄ

- Agnieszka to „Człowieku z marmuru” Andrzeja Wajdy, Elżbieta w „Granicy” Jana Rybkowskiego, Anna w „Bestii” Jerzego Domaradzkiego, Agata w „Bez znieczulenia” i Marta w „Dyrygencie” Wajdy... Nagle, w ciągu niespełna czterech lat, stała się pani znaną i uznaną aktorką filmową. Stworzyła pani bardzo charakterystyczny typ postaci, zresztą nie tylko w filmie, ale również w licznych rolach telewizyjnych i kilku teatralnych. W związku z rolą Agnieszki pisano na przykład: „Była agresywna, kontrowersyjna, zaskakująca na tle tylu nijakich postaci w polskim kinie. Budziła zachwyty i niechęć, nikogo nie pozostawiając obojętnym”. A jeszcze pani śpiewa: „Guma” zaprezentowana podczas Opola 77 odniosła wielki sukces wśród publiczności... Proszę, to jest listopadowy numer miesięcznika „Scena” z 1976 r. - pierwsza rozmowa z Krystyną Jandą, młodą aktorką teatru „Ateneum” w Warszawie, niedawną absolwentką tutejszej PWST, zatytułowana „Wejście na scenę”. W dwa lata później - nagroda im. Zbyszka Cybulskiego za osiągnięcia artystyczne... Czy ma pani świadomość, że stała się pani najbardziej reprezentatywną dla nowego polskiego kina aktorką?

- Nie mam. Przychodzą też do mnie ludzie i pytają: „Czy pani wie, że jest pani osobowością?” Odpowiadam: „Nie wiem”. Ja pracuję normalnie, jak każdy aktor. Gram jak potrafię najlepiej, w sztukach czy w filmach, w których mnie obsadzono. Oczywiście, staram się występować w takich rolach, które są mi najbliższe, pozwalają na odkrywanie czegoś nowego w świecie, w którym żyje, i we mnie samej. Co do popularności: różnie to się objawia; na ulicy, na szczęście, przechodzę niezauważona. Ale dostaję za to sporo listów.

- Od wielbicieli pani talentu?

- No, powiedzmy. Piszą na przykład bardzo młodzi ludzie, zawiadamiając mnie, że w takim to a takim liceum powstał fan-club Krystyny Jandy. Kiedyś znowu uznał mnie ktoś w liście niekoronowaną królową ruchu wyzwolenia kobiet w Polsce! A tak najwięcej, to przychodzi do mnie listów z tekstami piosenek, napisanymi przez początkujących twórców. Żebym zaśpiewała i wylansowała...

- Zaraz po skończeniu szkoły teatralnej zagrała pani w telewizyjnej realizacji „Trzech siostr” Czechowa w reżyserii Bardiniego, a pierwsze role na deskach teatralnych to Aniela we

fredrowskich „Ślubach panińskich” i Dorian w „Portrecie Doriany Graya” Oskara Wilde'a. U Wilde'a mogę sobie granie wyobrazić, ale słodka Aniela?

- Mnie też było bardzo trudno odnaleźć się w tej roli. Jan Świdorski ciągle mi powtarzał na próbach: „Aniela, to jest od anioła, od anioła!” No, zrobiłam tę rolę w końcu jakoś „po swojemu”...

- A ja panią ciągle widzę przede wszystkim w filmie... W młodym polskim kinie. Tym kinie, które określamy mianem moralistycznego. Krystyna Janda stała się jakby medium pewnego pokolenia - twórców i odbiorców - poprzez które wyrażają się poglądy na życie, niepokoje i cele, jakie stawia przed sobą to młode pokolenie. Z aktorów - pani i Jerzy Stuhr na przykład...

- Chciałabym jednak, aby nie odbierano mnie tylko jako aktorki „młodego kina”. Jestem, oczywiście, w środku tego, co skupieni w nim twórcy myślą i jak czują, i wystarczą mi żywe słowa, żebym wiedziała na planie, czego oni ode mnie oczekują. Osiągnęłam chyba już pewną taką elastyczność, zarówno warsztatową jak i intelektualną, że potrafię im współpartnerować...

- Właśnie: bezkompromisowa Agnieszka, dość tajemnicza Agata w „Bez znieczulenia” (ta milcząca dziewczyna, co chce po prostu „być” przy człowieku, któremu świat się wali na głowę), wreszcie - Marta z „Dyrygenta” - młoda skrzypaczka stawiająca sobie pytania, co ważniejsze: sztuka, kariera czy też życie dla człowieka, któremu jest się potrzebnym... Stała się pani „wajdowską” aktorką, z tych jego filmów - skierowanych ku współczesności. W nich pani role najlepiej „siedzą”. Ani Anna z „Bestii” Domaradzkiego, ani Elżbieta z „Granicy” Rybkowskiego nie potrafiły mnie jakoś porwać... W „Dyrygencie” na przykład, w pierwszej, „nowojorskiej” sekwencji, pokazuje się pani nagle, w niebieskich dżinsach, w błękitnej koszuli, idzie pani trochę nerwowym, ale pewnym siebie, zdecydowanym krokiem, i... już coś się tworzy na ekranie, powstaje jakieś spięcie: jest w Marcie coś z Agnieszki, młodej reżyserki filmowej z „Człowieka z marmuru”...

- Bo też, jak pan zauważył Marta z „Dyrygenta” ma w sobie wiele z Agnieszki. Lecz Agnieszki starszej o kilka lat, patrzącej na świat z większą dojrzałością.

Ale chciałabym powiedzieć o czym innym: utarła się o mnie opinia, że jestem osobą bardzo „współczesną”, i teraz obsadzają mnie w rolach współczesnych dziewczyn. Andrzej Wajda, na przykład, nie znosi mnie w stylowej sukni. A ja chcę grać nie tylko współczesne dziewczyny. Staram się odnaleźć siebie także w stylowym kostiumie. Z fredrowską Anielą - o czym już mówiłam - miałam niełatwą przeprawę; mój temperament, moja nerwowość tak trudne były do pogodzenia z „łagodnością” tamtego kostiumu.

Może udało mi się po raz pierwszy odnaleźć w stylowym kostiumie dopiero ostatnio, w „Dziewięćdziesiątym trzecim” Stanisławy Przybyszewskiej, w roli Maudon. Nawiasem

mówiąc, jestem wyjątkowo wrażliwa na kostium, na strój, który zaprojektowano dla postaci, jaką mam odtwarzać, w teatrze, filmie czy telewizji. Mogę się z nim identyfikować, lub budzić we mnie irytujący sprzeciw. Jeszcze dzisiaj, jak wkładam dzinsy i sportową koszulę, zaczynam się podświadomie zachowywać jak Agnieszka...

- Gra pani dużo, pracuje najczęściej ze znakomitymi reżyserami, jak nie filmowymi to teatralnymi, między innymi ze Świdorskim, z Łapickim, Wajdą. Każdy z nich miał wpływ na ukształtowanie osobowości artystycznej Krystyny Jandy, który z nich miał wpływ największy?

- Andrzej Wajda.

- Dlaczego?

- Trudno by było odpowiedzieć jednym zdaniem. Może zacznę od tego, że Andrzej Wajda to jest człowiek „do kochania”, ludzie go uwielbiają. Tak bardzo potrafi wyczuć drugiego człowieka, obsadzić go w najbardziej odpowiedniej roli. Często żartuje, że w filmie trzeba przede wszystkim grać wyraźnie jak czarne na białym. Ale to przecież właśnie Wajda, jak mało który z reżyserów, potrafi tak wiele inwencji pozostawić samemu aktorowi, tak bardzo aktywnie z nim współpracować, słuchać jego uwag i analizować jego pomysły. Dzięki niemu upewniłam się w artystycznej i życiowej odwadze; może przedtem zbyt często udawałam przed sobą, że jestem inna niż jestem naprawdę, niż powinnam być? Andrzej Wajda jest też człowiekiem niesłychanie delikatnym. Ale przy całej delikatności potrafi być w swej pracy bezkompromisowy. Tego właśnie starałam się od niego nauczyć.

- W swym pierwszym wywiadzie, udzielonym dziennikarzowi „Sceny”, mówiła pani w ten oto sposób o zawodzie aktora, który się właśnie przed panią otwierał: „...jest to taki zawód, w którym aktor nie może nikogo oszukać, nawet przy bardzo sprzyjających warunkach: wielkiej szansie, szczęściu, zachwytach krytyków czy sympatii dyrektorów. Jest to zawód, w którym ocena i sprawdzian są natychmiastowe i bezlitosne”. Co mogłaby pani teraz, po czterech latach dorzucić do tamtych słów?

- Powtórzyłabym to samo. A ponadto, że nauczyłam się pracy z wieloma ludźmi. Nauczyłam się słuchać, analizować i wyciągać wnioski z tego, co do mnie mówią. Już nie mam w sobie strachu, który mówił mi w początkach pracy scenicznej: trzymać się, trzymać się siebie, swojej „linii” - bo zginę.

- A co daje pani dzisiaj większą satysfakcję: praca na scenie czy przed kamerą?

- W teatrze przede wszystkim.

- Więc pani też? Pani, która wydaje się być przede wszystkim człowiekiem kina, wygłosi zaraz pean na cześć teatru, czyli „prawdziwej sztuki”, która jedynie naprawdę nobilituje aktora? Dlaczego tylko Beata Tyszkiewicz potrafi u nas powiedzieć otwarcie, że jest aktorką filmową a nie teatralną, bo po prostu, woli kino od teatru?

- Ale pan mi nie pozwolił dokończyć... Ja też wolę, na swój sposób, kino. Jednak teatr pozwala mi bardziej uczestniczyć w akcie twórczym. Jeżeli gram sto przedstawień na scenie, to w każdym z nich jestem trochę inna. Coś dodaję lub ujmuję w mojej roli, przetwarzam ją, wzbogacam, nasycam własnymi przeżyciami, zwiększającym się z każdym dniem zrozumieniem postaci, którą odtwarzam. Jestem włączona w dziejącą się na scenie pewną artystyczną całość i mam swój wpływ na jej kształt. W teatrze pracuje się wolniej niż w filmie. Na próbach jest czas na przemyślenia, na rodzenie się nowych pomysłów. Właśnie na próbach, w wolnych chwilach, myślę „naprzód” o tym, co zrobić i jak to zrobić. W filmie trzeba działać szybko, wykorzystując doświadczenia zdobyte na długich, spokojnych próbach teatralnych. Dobrze, że ja jeszcze jestem, jak to się mówi, „aktorką pierwszego dubla”, jakoś mi wychodzi scena, która jest filmowana, za pierwszym, drugim razem. Satysfakcja z grania w teatrze, o której mówiłam poprzednio, polega na durnym przekonaniu, że jestem jakimś „większym” twórcą, natomiast w filmie nie mam takiego wpływu na ostateczny kształt mojej roli. Ale obawa ta polega na mojej... głupocie, ponieważ za każdym razem z zagranej przeze mnie roli filmowej Wajda robi nożyczkami o wiele lepszą rolę.

- Z tego co pani mówi wynoszę wróżenie, że teatr, choć bardziej przywiązuje aktora do roli niż film, choć mocniej włącza go w swoje tryby, daje mu przecież większe poczucie wolności.

- Bo tak jest, tylko rezultaty są różne.

- Jeszcze jedno pytanie: deklaruje się pani dość często jako wielbicielka twórczości Prousta. Trochę to nie pasuje do wyobrażeń o pani jako przedstawicielce młodej generacji, do tych filmów o „publicystycznym” zacięciu, w których tworzy pani swoje charakterystyczne postaci. No, mógłbym wyobrazić sobie jeszcze Marię z „Dyrygenta” wybierającą się w drogę w poszukiwaniu czasu utraconego. Ale Agnieszka, ale Agata?

- Tylko że ja nie jestem ani jedną, ani drugą, ani trzecią z tych dziewczyn. Choć Agnieszce, Agacie i Marcie staram się dać jak najwięcej z siebie. Ja zresztą przy Prouście odpoczywam Proust...

- „Jest jak balsam na moje poczucie umykającego czasu i nerwowość”, zwierzyła się pani kiedyś.

- Tak. Uwielbiam ten świat, który on stworzył. Jakbym uczestniczyła w tym wszystkim, co się dzieje w jego książkach. Ten człowiek, ci jego bohaterowie, mają czas na wszystko. A my tak mało dzisiaj mamy czasu, coraz mniej go mamy. Nieraz nawet na to, żeby być sobą.